

Przegląd Wileński

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM KRAJOWYM

REDAKCJA I ADMINISTRACJA:

Wilno, Sierakowskiego № 21 m. 6.
Czynne od g. 12 — 2 prócz świąt.

CENA OGŁOSZEŃ: 1/1 strona — 50 zł.
1/2 „ — 25 „
1/4 „ — 13 „
1/8 „ — 7 „

Prenumerata kwartalna wynosi 1 zł. 50 gr.

Znamie czasu.

P. J. M. w „Słowie”, zastanawiając się nad przyczynami ekscesów antyżydowskich w Grodnie, których epilogiem jest toczący się obecnie proces tamże, czuje się dziwnie bezradny i w końcu przyznaje się otwarcie, że jego próba analizy nie dała rezultatu. Tymczasem sprawa jest zupełnie jasna. Sam autor w toku swych rozważań trafnie rozwiązał rzekomą zagadkę. W tym mianowicie punkcie, w którym pisze: „Więc bito Żydów dlatego, że nie było policji. Czyli tam, gdzie ona jest, sztucznie utrzymuje w karbach nastroje antysemityczne ludności”.

Ależ oczywiście! Antysemityzmem jest tak mocno przesiąknięta chrześcijańska ludność miejska w całej Rzeczypospolitej, nie wyłączając naszego kraju, że wystarczy najmniejszego rozluźnienia hamulców, by nastąpił wybuch tłumionych przez aparat państwowy instynktów nienawiści rasowej. Inna rzecz—zbadanie powodów owej tkwiącej w psychice mas nienawiści. To zagadnienie jest bardziej skomplikowane, ale znowuż nie tak trudne i zawiłe, by trzeba było nad niem łamać głowę.

Jaskrawe objawy antysemityzmu można było obserwować u nas i dawniej, jeszcze przed wojną, od tego czasu jednak nastroje antyżydowskie znacznie się wzmogły i przybrały na intensywności. Wpłynęły na to z jednej strony względy ekonomiczne ostrzejsza walka o byt wskutek kryzysu i bezrobocia, z drugiej zaś strony wzrost antagonizmów etniczno-wyznaniowych pod wpływem agitacji żywiół nacjonalistycznych.

Nasz korespondent grodzieński, pisząc o ruchach (N 13—14 „Przegl. Wil.”) winę ich przypisywał bez ogródek miejscowej chadecji, która w wydawanym przez siebie piśmie p. t. „Nowe Życie” przez długi czas zamieszczała żydożercze artykuły, szerząc

wśród drobnomieszczaństwa grodzieńskiego spustoszenie moralne i umysłowe. Hasła antysemityczne padały na grunt podatny, bo przeorany swego czasu przez propagandę czarnosecinno-pogromowych organizacji. Rozmaici „Panasiacy” dawniej ulegali inspiracjom „iście rosyjskich ludzi”, dziś w zmienionych warunkach idą ślepo za wskazaniem „bogoojczyźnianami” Polaków i katolików. A przeciwdziałania tej zgubnej robocie znikąd niema.

Całe bowiem społeczeństwo polskie jest mniej lub więcej usposobione nacjonalistycznie i jeżeli inteligencja, poza zwolennikami ideologii endeckiej, potępia pogromy i wogóle nie występuje przeciwko Żydom agresywnie, to w żadnym razie też nie zdradza intencji do zajęcia wyraźnego stanowiska zgodnie z zasadami chrześcijańskimi i humanitarnymi. Prócz jawnych stronników hitleryzm posiada u nas o wiele liczniejszych cichych sympatyków.

Jest bardzo charakterystycznym objawem, że ekscesy grodzieńskie i ich krwawy przebieg nie wywołały żadnego protestu i że reakcji społecznej nie było wcale, co Żydzi, zdaje się, najbardziej mają za złe. W dzisiejszej atmosferze Grodna nie do pomyslenia byłoby, aby Orzeszkowa stworzyła swego „Meira Ezofowicza”.

Poza parlamentem.

Nowy ustrój parlamentarny w Polsce oparty jest na zasadach, w praktyce wykluczających parlamentarną reprezentację tak zwanych „mniejszości” narodowych, częstokroć na swym własnym terenie stanowiących bezsprzeczną większość. Jeśli chodzi o Senat, to nie mają żadnej możliwości wejścia do tej izby parlamentarnej drogą wyboru przedewszystkiem te „mniejszości” terytorjalne, które w okresie zdobywania przez Polskę niepodległości państwowej walczyły o własną niepodległość i oczywiście zasłu-

żyć się wobec państwa polskiego nie mogły. Tu w pierwszym rządzie stoją Białorusini, Litwini, Ukraińcy. Dla nich jedyną drogą wejścia do Senatu może być nominacja przez Prezydenta.

Nie lepiej stoi sprawa wyboru posłów „mniejszościowych” do Sejmu. Skład kolegów wyborczych jest tak ustalony, że i tutaj na rdzenie białoruskich, litewskich czy ukraińskich terenach reprezentanci miejscowej *większości* mogą otrzymać fotele poselskie tylko przy zgodzie *mniejszości* polskiej. Wybory do Sejmu, które się odbyły, najlepiej—bo w praktyce—to uwydatniły. Poza nieliczną reprezentacją żydowską, wybraną z miast o bardzo wysokim procencie ludności żydowskiej (Warszawa, Wilno), wybrana została pewna ilość Ukraińców—wyłącznie jako *wynik polsko-ukraińskiego porozumienia wyborczego*. Białorusini—wobec braku podobnego porozumienia z dzierżącą prym stroną polską—nie poszli na wybory, wiedząc doskonale, że żadnych szans na przeprowadzenie swoich kandydatów w zmajoryzowanych przez żywioł panujący kolegach wyborczych nie mają. Nie poszli i Litwini, ale tutaj grały rolę już względy natury zasadniczej.

Mimochodem zaznaczyć wypada zjawisko wielce charakterystyczne. W roku 1930, wobec zupełnie nienormalnych warunków, w jakim się odbywała akcja wyborcza, jedna z grup białoruskich, doceniając trudność wytworzonej sytuacji, zaproponowała innym ugrupowaniom stworzenie jednolitego białoruskiego frontu wyborczego. Na to wszakże nie poszły ugrupowania, zjednoczone w Komitecie Narodowym (pod egidą Chadecji), oświadczając, iż zawarły już porozumienie wyborcze z Ukraińcami i nawet dla zrealizowania jednolitego frontu narodowego porozumienia tego anulować nie mogą. Dużo się przy tem pisało o braterstwie białorusko-ukraińskim, jako głównym kanonie polityki białoruskiej, inicjatorów zaś wyborczego frontu ogólnonarodowego oskarżano o perfidję, mającą na celu rozbitcie tego braterstwa... Oczywiście, wyniki wyborów były dla Białorusinów fatalne: przy ówczesnych warunkach politycznych i istnieniu białoruskich list konkurencyjnych nie przeprowadzili oni ani jednego posła z okręgów. Obecnie zaś strona ukraińska najwidocz-

niej o tym tak kosztownem dla Białorusinów braterstwie zapomniała całkowicie, dając im bolesną lekcję, że nie można w ofierze dobrym stosunkom z innym narodem składać najistotniejszego interesu narodu własnego, jakim jest narodu tego *skonsolidowanie*...

Ale to tylko uwaga uboczna. W artykule niniejszym chcemy zwrócić uwagę publiczną na fakt, że *ludność białoruska w Polsce*, licząca—podług statystyki białoruskiej—około 2¹/₂ miliona (nawet ostatni urzędowy spis ludności białoruskiej podaje cyfrę 1.600.000), *pozostała poza parlamentem i na drodze parlamentarnej nie może szukać rozwiązania swoich spraw i potrzeb*.

Oczywiście, panowie posłowie z terenów białoruskich, Polacy czy też Rosjanie, mogą twierdzić, że reprezentują *całą ludność miejscową* i interesów jej bronić będą. Lecz sam fakt niedopuszczenia ani jednego Białorusina do Sejmu najwymowniej temu przeczy: nawet przy szczytach chęciach posłowie Polacy nie mogą nic o potrzebach kulturalno-narodowych Białorusinów powiedzieć, bo, *primo*, potrzeb tych wcale nie znają, *secundo* zaś—w swej działalności dotychczasowej na terenie naszego kraju nigdy nie wykazali najmniejszego zainteresowania dla spraw białoruskich.

Powstała więc sytuacja, jak przed rokiem 1922, kiedy to Białorusini, zjednoczeni w łączącym wszystkie ugrupowania Centr. Białor. Kcie Wyborczym, wybrali do Sejmu 12, do Senatu—3 swoich reprezentantów. I przypuszcząć należy, że w społeczeństwie białoruskiem znacznie się proces *nowej konsolidacji narodowej*—celem załatwiania swych najbardziej palących spraw *własnymi siłami*. Rozbitcie społeczeństwa białoruskiego, do którego w ciągu kilkunastu lat dążyły wrogie Białorusinom czynniki—zarówno wewnątrz państwa, jak i zewnętrzne,—trwać nadal nie może. I jeśli wśród działaczy białoruskich nie zostanie zapoczątkowana jakaś radykalna akcja w kierunku konsolidacji sił narodowych, skutki tego będą dla sprawy białoruskiej w Polsce wprost fatalne.

I nie tylko w Polsce. Bo dziś twórcza praca kulturalna odbywa się w szerokim zakresie—w skali państwowej—tylko *na Białorusi Sowieckiej*. Ognisko

„Ateneum Wileńskie”.

„Ateneum Wileńskie”, czasopismo poświęcone badaniom przeszłości ziem b. W. X. Litewskiego, ma duże zasługi na polu publikacji wyników tych badań. Ostatnio wydany dziesiąty tom rejestr tych zasług powiększa o jedną pozycję więcej.

Na pokaźny, około 600 stron druku liczący tom składają się samodzielne rozprawy, miscellanea i materiały, recenzje, sprawozdania, bibliografia historii ziem b. W. X. Lit. i kronika.

Rozpatrując kolejno poszczególne działy łatwo spostrzeżemy, że lwią część miejsca, bo przeszło połowę rocznika zajmują właśnie owe drobne przyczynki i recenzje. Dział Miscellaneów istotnie jest mieszaniną artykułików różnych zarówno pod względem treści jak objętości i tematu. Nie wszystkie z nich są równej wartości. Niektóre stanowią taki drobiazg „przyczynkarski”, że można je bez żadnego dla autorów dyshonoru pominąć milczeniem, inne zaś są tak dalece specjalne, że nawet przy najdalej szeroko pojętym terminie „historja” nie utrzy-

mują się w jej właściwych granicach i wkraczają już w dziedzinę specjalności innej, w tym wypadku raczej muzykologii średniowiecznej plus liturgia prawosławna, aniżeli historii. Dotyczy to artykułu prof. Koschmiedera p. t. „Teorja i praktyka rosyjskiego śpiewu neumatycznego na tle tradycji staroobrzędowców wileńskich”.

Ale i w tym dziale znajdują się przyczynki natury ogólniejszej. Wymienić więc przedewszystkiem należy wydobyte przez W. Lepszego z archiwum państwowego w Sztokholmie i wspólnie z prof. Koponczyńskim podane „Akta ugody kiejdańskiej 1655 r.”, uzupełnione tekstami z Biblioteki XX. Czartoryskich w Krakowie i z Ossolineum. Cytowany artykuł przytacza kilkadziesiąt akt podanych bądź w streszczeniach, bądź w brzmieniu dosłownem i zawiera korespondencję, poprzedzającą układ, prowadzoną między Radziwiłłami—Januszem i Bogusławem—i ich pełnomocnikami i adherentami a Mag-nusem de la Gardie, namiestnikiem Karola Gustawa w Inflantach, wreszcie sam tekst paktu. Żadnych komentarzy do akt autorzy nie podają.

Na wyróżnienie zasługuje artykuł M. Gumow-

to jednak w istotnej treści swojej jest „proletariatem” i tylko co do formy zewnętrznej — białoruskiem. Świeci jednak mocno — i nie tylko dla BSSR, ale również na Zachód — poprzez kordony graniczne. By temu promieniowaniu skutecznie się przeciwstawić, należałoby skupić dla pracy kulturalnej wszystkie narodo-twórcze siły Białorusinów na ziemiach Białorusi Zachodniej. Lecz na to znowuż potrzebne jest przede wszystkim zaniechanie wewnętrznej walki politycznej wśród społeczeństwa białoruskiego.

Stoimy obecnie wobec dylematu: czy zwycięży zdrowy rozum polityczny przewodców białoruskich, czy — wpływy czynników obcych i nadal życiem białoruskiem kierować mają. Od tego będzie przyszłość narodo-wa Białorusinów zależała.

H. B.

Głos litewski o problemie zła*).

Można naliczyć dziesiątki seminaryjnych i uniwersyteckich profesorów teologii w Litwie Kowieńskiej i Wileńskiej, lecz czy w dostojnym ich gronie, znajdzie się chociażby jeden *teolog* o twórczym umyśle, prawdziwy w sensie zachodnio europejskim? Bodaj nie. O teologach z łaski Bożej można, bez większej przesady, powiedzieć, co starożytność klasyczna orzekła o poetach: *nascuntur*.

Otóż najciekawszy umysł teologiczny Litwy, Ad. Jaksztas zechciał świeżo zmierzyć się literacko z problemem zła.

Istnienie zła, jego celowość lub irracjonalizm zawsze interesowały ludzi. Tych nawet, co najmniej są zdolni i chętni do rozważań filozoficznych. Orkan zła, który w postaci wojny światowej przewalił nad światem, bardziej jeszcze uaktualnił zagadnienie powyższe. Chyba dlatego autor, znany z trzymania zawsze ręki na pulsie całego życia umysłowego swej ojczyzny, zapragnął dać inteligencji swego narodu sumę swych na ten temat przemyśleń i doświadczeń. Ujął to nie w formie traktatu, działającego już

*) A Jaksztas. *Pikto problema*. Kaunas 1935.

skiego — „Herby miast litewskich” zawierający opisy i rysunki 69 miast, znajdujących się dziś w granicach państwa litewskiego. Ponadto w dziale tym figurują m. in. artykuły M. Brensztejna — („Scalanie archiwaliów w Wilnie”), prof. Iwaskiewicza („Śniadeciana”), Ambrosa („Wileńska biblijografia regionalna w latach 1928—1933”), Jakubowskiego („Przykład zmienności granic administracyjnych na Litwie w w. XVI) i kilka innych o drobnym znaczeniu.

Recenzje poza kilkoma, dotyczą prac, omawiających sprawy przeszłości ziem b. W. X. Litewskiego. Zaznaczyć trzeba, że obfity ten dział w większości opracowany jest siłami młodszych pracowników naukowych Wilna, wśród których wielką ruchliwością i pracowitością odznacza się młody wychowanek Uniwersytetu Stef. Batoiego, p. L. Żytkowicz.

Osobno wyróżnić trzeba, stanowiącą odrębną część działu rocznika „Biblijografię historii ziem b. W. Ks. Litewskiego za lata 1932—1934” przejrzyście ułożoną przez Stefana Burhardta i Janinę Rewkowską, oraz zestawioną przez M. Nowodworskiego „Kronikę” wileńskiego ruchu naukowego i kulturalnego za r.

swym wyglądem na mięśnie, powodujące ziewanie, lecz w postaci wytwornego a zajmującego dialogu. (Zaprawdę jesteśmy dziś świadkami w literaturze współczesnej odrodzenia tej formy, chociaż rodowód jej zaprowadziły nas do Grecji i średniowiecza z jego scholastyką).

Odbywa się dialog w willi „Piękna”. Biorą w nim udział: docent wydz. teol. protestanckiej w Kownie dr. fil. *Ginczys*, jego kolega, urodzony na Litwie Rosjanin, student prawosławnej akademii teol.-filoz. w Paryżu *Iwanow*, prof. zwyczaj. wydz. teol.-filoz. w Kownie *Minezius*. Do tych trzeba dodać młodego a sympatycznego jezuitę o. *Serafina* i świeżo przybyłą aeroplanem z Paryża art. Almę *Diewawaitiene*. W toku dialogu dołączy się do nich jeszcze student prawa *Kein(is)*.

Rekomendując czytelnikowi we wstępie uczestników wymyślanego sympozjonu, autor daje kolejno siedem dialogów. Na pierwszy ogień idzie *Istota i pochodzenie zła*. Padają imiona doktorów Kościoła (św. św. Tomasza z A., Bonawentury, Augustyna) i filozofów (Carlyle, Renouvier, Sołowjewa, nawet Hoene-Wrońskiego), przemykają się w odnośnikach łacińskie a precyzyjne scholastyczne definicje i świetne dystynkcje między różnymi rodzajami zła, wszystko zaś ujęte jest szeroko, syntetycznie i sięga najwyższych szczytów filozofji chrześcijańskiej.

Czemu Bóg pozwala złu istnieć na świecie — tytuł drugiej dyskusji. To już kwestja trudniejsza od poprzedniej, bo zawsze łatwiej coś zdefiniować i poddystyngować, czyli rozsunąć po szufladkach terminów, niż wysledzić tajemnicę przyczyny pewnego zjawiska. Jaksztas — świetny logik, nieporównany a straszny dla przeciwników dialektyk, co łączy głębokość ujęcia z matematyczną precyzją badania, opanował cały dorobek współczesnej myśli filozoficznej i teologicznej, więc pewnym krokiem prowadzi podążającego za nim czytelnika przez labirynty tak pesymizmu przemądralęgo, jak optymizmu naiwnego.

Trzeci dialog ma za przedmiot swój *Bolszewizm — największe źródło zła*. Autor tu wykazuje źródło — przyczyny, jakie dały i dają mu życie, rozpęd, inercję, jakie związały go tak silnie z bezboż-

1934, uwzględniającą m. in. artykuły historyczne publikowane w prasie wileńskiej w latach 1934—35.

Ale główny zrąb naukowo-twórczy „Ateneum” stanowią wykonane samodzielnie rozprawy, których w tomie 10 ym zamieszczono 4, z czego jednej tylko połowę. Rozpoczynają one rocznik i tworzą jego dział I-szy — najważniejszy, — poświęcić więc im należy nieco więcej uwagi.

Na cztery rozprawy tylko jedna wyszła spod pióra autora wileńskiego, którym jest, wspomniany już wyżej, Żytkowicz. Trzy pozostałe napisały: Marja Baryczowa (z Krakowa) — „Augustyn Rotundus Mielecki, wójt wileński, pierwszy historyk i apologeta Litwy” — artykuł wydrukowany tylko w połowie, (co, notabene, do zalet redakcyjnych zeszytu poczytać nie można), omówienie jego trzeba odłożyć do czasu aż się ukaże ciąg dalszy; — prof. Oskar Halecki (z Warszawy) — „Na marginesie najważniejszych dyplomów katedry wileńskiej” i Józef Puzyna (z Białegostoku) — artykuł „Kim był i jak się naprawdę nazywał Pukuwer, ojciec Gedymina”.

Na 580 stron — rozprawy zajmują stron 160. Nie jest to oczywiście zbyt dużo. Nie jest jednak

nictwem i uczyniły zeń nową religję, pełną swoistej mistyki, a mającą swą biblię marksistowską (kapitał), swego papieża czerwonego (Stalina), swą inkwizycję (G. P. U.), swych misjonarzy (komisarzy), swój kult (kącik Lenina), swój kalendarz, swe święta, swe martyrologjum... Starannie ukrywaną nędzę bytu bolszewickiego nieźle persyfluje rosyjski humor szubieniczny w tych niewielu słowach:

Vozduschnoje pitanje, sołniecznoje otoplenie, lunnoje oświezczenie, grobowoje molczanje.

Dalej dyskusja toczy się dokoła tego, że *największym złem jest wojna*. Pełno tu aktualnych uwag, mających związek z obecną sytuacją polityczną Litwy i świata. Poznajemy autora jako głębokiego a trzeźwego pacyfistę, który najsłuszniej piętnuje stworzone przez Francuzów w literaturze powojennej *belles figures des prêtres soldats*, co to nieraz własnoręcznie zabijali wroga, a po bitwie szli sobie odprawiać msze św. za *tychże* zabitych! Potworne to karykatury kapłana i żołnierza. Niemcy przynajmniej nie byli tak cynicznie sentymentalni. Z tego stanu rzeczy wynika jasno, jak słuszną jest prośba do Boga: *Wyniszez narody, które pożądały wojny!* Zbyt jednak krewcy niektórzy przedstawiciele Kościoła nieraz wybijali się i dziś się wybijają (włoscy kapelani wojskowi) na wielkich krzykaczy wojennych. *Sens cierpienia* wydają się w ostrej wymianie zdań dokoła tej trudnej kwestji, przyczem nie zabrakło u autora nic z tego, co by się dało powiedzieć i wyrozumować na usprawiedliwienie cierpienia w życiu ludzkości.

Szósty dialog poświęcony jest *nieuniknionemu złu — śmierci i chęci życia pośmiertnego*. W porównaniu do tematów poprzednich ten jest łatwiejszy, bo i naprawdę czasy obecne obniżają wyraźnie chęć i przywiązanie do życia i odejmują często śmierci jej grozę, ukazując ją raczej w postaci wybawicielki od... życia. Wprawdzie nigdy jak widać nie brakło pesymistów. W Rzymie starożytnym mawiano z rezygnacją dwuwiersz: *A morbo mortis non est medicamen in hortis*, a Ukrainiec dziś też powiada: *Wer ty, ne werty, a treba umerty*. W plastyce średniowiecznej stworzyło to znane *tańce śmierci*. Temu oto dyktandu znużenia ludzkiego przeciwstawia Jaksztas starą jak samo chrześcijaństwo wiarę jego w byt

i życie pozagrobowe. O ile dla materialisty śmierć jest przemianą materji jednej w drugą, o tyle dla chrześcijanina jest przemianą samego już życia — jednego na drugie.

Nie mógł w *Problemie zła* autor opuścić lub pominąć tematu *Zła nieskończonego — piekła*. Ta partja rozważań Jaksztasa daleko odbiega od szablonu, tchnie ujęciem oryginalnem, a przeprowadzona jest na tle kultury ogólnie ludzkiej.

Ten głos litewski o problemie zła uzupełnia literatura przedmiotu.

W przeżywanych przez nas przełomowych czasach poważna, jak wyżej omówiona rozprawa na temat zła, cierpienia i kary dopomóc skutecznie może do głębszego a prawidłowego ujmowania tych podstawowych zagadnień chrystjanizmu.

Simplex

FELJETON.

Italia czy Etyopia?...

„Słowo” zapragnęło, aby jego czytelnicy wypowiedzieli się na temat, komu życzyć zwycięstwa — Włochom czy Abisynji?... Odpowiedzi powinny być być krótkie. Rozwlekłe nie miały być umieszczane. Mam zamału czasu, abym mógł krótko uмотywować swoje stanowisko, muszę więc prosić o gościnność w „Przełądzie Wileńskim”, który nie będzie mnie ograniczał co do rozmiarów odpowiedzi na ankietę, bo „Przeł. Wil.” kępuje się teraz zadużo pisać o sprawach krajowych, gdyż, jak wiadomo, nie wszystkim to się podoba, amnestja zaś w sprawach prasowych przedstawia się jeszcze niezupełnie wyraźnie.

Zajmijmy się więc dla pewności i dla odmiany sprawami zagranicznymi i spróbujmy ustosunkować się do poruszonego zagadnienia swobodnie, zwłaszcza, że ten temat nie grozi już chyba żadnymi konfliktami z cenzurą. Komuż więc życzyć zwycięstwa — pięknej Italji czy czarnej Etyopji?... Co do mnie, bez żadnych zastrzeżeń wypowiadam się za wiktoryją Włoch. I mam ku temu poważne podstawy.

wina redakcji, jeśli autorów z odpowiedniami pracami brak. Z zamieszczonych o dwu zwłaszcza trzeba parę słów powiedzieć.

Studjum p. Puzyny w całości swej robi wrażenie dość chaotycznego. Do str. 8 ej włącznie stanowi polemikę z Paszkiewiczem, autorem dzieła „Jagiellonowie a Moskwa”, wydanem w r. 1933, w którym to dziele Paszkiewicz konstatuje, że na pytanie: kto stoi na czele państwa litewskiego po Trojdenie a przed Witenesem, odpowiedzi nie mamy spowodu niezmiernie fragmentaryczności źródeł; ta luka w nauce jest tem dotkliwsza, mówi Paszkiewicz, że w okresie tym rozpoczyna swoje rządy ród Gedyminowiczów — Jagiellonów, których roli w Europie Wschodniej nie potrzeba podkreślać. P. Puzyna kwestję tę usiłuje rozwiązać. W rezultacie jednak, na postawione sobie w tytule pytanie, zdaniem mojem, przekonywującej odpowiedzi nie daje. Oceną wartości naukowej pracy p. Puzyny zajmą się prawdopodobnie ludzie kompetentni, a przedewszystkiem badacze medjuwistyki litewskiej. Na tem miejscu ograniczę się tylko do paru uwag natury formalnej, dotyczących metody pracy naukowej.

Świadectwem autentyczności argumentu lub faktu podanego w pracy historycznej są cytaty danych źródeł czy prac konstrukcyjnych, umieszczane w przypisach. Dlatego też przypisy zwłaszcza powołujące się na źródło lub dzieła drukowane, trzeba konstruować tak, żeby nie budziły żadnych wątpliwości, a były dostatecznie przejrzyste. Tymczasem prawie wszystkie odsyłacze u p. Puzyny potraktowane są z nonszalancją. Niema ani jednego, któryby cechowała poprawność. Nie wystarczy dać kabalistycznego skrótu w rodzaju „Dusb.” lub „Ipat.” z dodatkiem stronicy, ale trzeba bezwarunkowo podać przynajmniej raz jeden na początku pełny tytuł źródła, miejsce i rok wydania, jeśli jest drukowane, a także kolejność wydania, jeśli było ich kilka. To samo dotyczy i dzieł konstrukcyjnych. Dopiero przy następnych cytatach, o ile się wypadnie powołać na to samo dzieło, które było już raz cytowane w sposób należyty, wystarczy ograniczyć się do skrótu. Żeby nie być gołosłownym przytoczę parę przykładów z pracy p. Puzyny: str. 4, odsyłacz 9: „Ipat., II, s. 933”, str. 5, ods. 14: przy cytowanych dziełach brak miejsca i daty wyd., str. 6, ods. 17: „Połn. Sobr.

Przedewszystkiem — cześć, zachwyt, entuzjazm dla Mussoliniego. Jednym z największych błędów ludzkości jest niedorzeczne mniemanie, że stosunki między ludźmi i między narodami układają się na zasadzie *prawa*, czerpiącego rzekomo swoje siły z pojęcia sprawiedliwości. Nikt właściwie dobrze nie wie, co to jest sprawiedliwość, pojęcie mętne, nieokreślone, abstrakcyjne, ale zato bardzo elastyczne. Każdy ciągnie za włosy „sprawiedliwość”, aby nią uprawnić swoje czyny, gdy tymczasem jest to zupełnie niepotrzebne. Mussolini pierwszy miał odwagę postawić kwestję racjonalnie: potrzebna mi jest kolonia, mam siłę, spróbuję jej użyć, aby otrzymać Abisynję. Jasno, wyraźnie i bez obłudy. Siła przed prawem. Prawo służy tylko do ulegalizowania tych stanów rzeczy, które stworzyła siła. Tak było zawsze, tak jest i tak będzie. A zresztą, czyż Mussolini nie ma za sobą starego i uznawanego podziśdzeń prawa: *Salus reipublicae — suprema lex*. Człowiek, który w wieku zakłamania powszechnego mówi prawdę bez obłonek, — ma tytuł do wielkości. *Viva Il Duce!*...

Ale to nie wszystko. Włochy mają drugiego człowieka, który przejdzie do historii rozwoju ducha ludzkiego. To — wspaniały, niezrównany Pitigrilli. Żaden Kolumb nie może się z nim równać pod względem wartości swoich odkryć. Kolumb odkrył tylko Amerykę, gdy Pitigrilli odkrył człowieka, odkrył ludzi — takimi, jakimi w rzeczywistości są. Zdarł z nich wstydlive maski obłudy i kłamstwa. Pokazał ich samym sobie nago. Tak, znudyzował ich dusze. Pokazał nanago istotę kobiety, mężczyzny, prawnika, lekarza i t. d., ubarwiając ich jeno kwiatami swego talentu i iskrami swego dowcipu. Postawił przed każdym z nas zwierciadło nieupiększające, ale i nie wkleśłe — zato najbliższe prawdy. Ten tytan ducha ludzkiego, harmonijne połączenie gienjusza romańskiego z *esprit gaulois*, namiętnie zwalczany przez jednych i wielbiony przez innych — będzie należycie oceniony dopiero przez potomność. *Saluto al Pitigrilli!*...

Nie unośmy się jednak wyłącznie personalną czcią dla dwóch genialnych Włochów, chociaż Pan Bóg dla kilku sprawiedliwych oszczędzał całe miasta grzeszników. *Mutatis mutandis*, jeżeli chodzi o pra-

wo do życia dla rasy wyższej, wydającej genjusze — to jej interesy powinny zadominować nad interesami rasy niższej, która od wieków nie posunęła się ani krok naprzód, przedstawiając dzisiaj muzealny rezerwat stanu cywilizacji z przed paru tysięcy lat.

Podejźmy wreszcie do tej samej kwestji z punktu widzenia o wiele nam bliższego, z punktu widzenia interesów Polski. Bo, proszę państwa, jeżeli Włochy zwyciężą, to w rezultacie otrzymają dla swej ekspansji nową kolonię afrykańską. Wywoła to ogólny ruch za zdobyciem kolonij. Niemcy, oczywiście, będą dążyły do rewindykacji tej części Afryki, która im została odebrana na zasadzie traktatu Wersalskiego. Już się o tem głośno mówi w Berlinie. Już staje się to realnym celem polityki niemieckiej. O ile zaś Niemcy wyrewindykują swój Kamerun, to przecież Polsce należy się również odpowiednia część tej kolonji, albowiem przed wojną była ona zdobytą wysiłkami całej Rzeszy, część której wchodzi obecnie w skład Polski. Słuszną jest rzeczą, aby Polska otrzymała proporcjonalną część kolonij niemieckich, jako państwo sukcesyjne.

Co za wspaniałe perspektywy... Niemcy rewindykują kolonię, Polska partycypuje w tej rewindykacji. Dzisiejsza zgoda Polski z Niemcami ułatwi podział bez żadnych zatargów. Polska obejmie kawał czarnego łądu, na którym rosną banany, kaktusy, pomarańcze, rodzyнки, daktyle, makagigi i inne figi. Nawet pieprz spewnością tam rośnie. Jak to będzie pięknie!...

Niedość natem. Polska będzie mogła tam (gdzie pieprz rośnie) wysłać wszystkich swoich złoczyńców, komunistów i innych kandydatów do Berezy Kartuskiej. Niepotrzeba będzie wydawać co kilka lat amnestji, bo cały ten balast, przeludniający więzienia, będzie się pchało do polskiej kolonji w Afryce. Skasuje się wszystkie gmachy więzienne i przekształci się je na schroniska dla najlojalniejszych obywateli państwa. Będzie tam zamieszkiwała elita duchowa Polski, która nie będzie miała innego zajęcia, jak chwalenie każdego rządu, wszystko jedno tego, lub innego, który po nim nastąpi.

Pozatem, otworzy się bogate pole do eksportu. Polska będzie eksportowała do swej afrykańskiej

XVII, 309—310”. Ma to zapewne oznaczać „Połnoje Sobranije”, — ale czego? Wydawnictw rosyjskich, o tytule zaczynającym się od słów „Połnoje sobranije” jest niezliczona ilość, dlatego też konieczny jest pełny tytuł. Str. 9, ods. 28 — brak miejsca i daty wyd., str. 16, ods. 63: „Długosz, str. III, 20”, str. 16, ods. 61 „Zajączk., Studja”, str. 25, ods. 98: „Alnp.” (?), str. 31, ods. 126: „MPH, II” (?). Wielokrotnie spotykają się takie odsyłacze: „Patrz wyżej” — i nic więcej! Więcej przykładów nie przytaczam, bo szkoda czasu i miejsca, zaznaczam tylko, że takich niedociągnięć jest u p. Puzyny na każdej stronie jego pracy po kilka.

Wreszcie zarzut, tym razem, poważniejszy: autor całkowicie pominął odnośną literaturę historyczną litewską. Na ostatnim zjeździe Historyków Pol. w Wilnie, a i wcześniej odzywały się głosy (Papée, Zajączkowski) za koniecznością współpracy z historjografią litewską i przedewszystkiem uwzględniania prac historjografji litewskiej. Do poruszonego przez Puzynę zagadnienia genezy dynastji Gedyminowiczów posiada historjografia litewska pewne przyczynki, z których przedewszystkiem wymienić

należy A. Kučinskas'a: „Gedimino dinastijos kilmė”, drukowany w czasopiśmie „Musų Žinynas”, Kowno 1934, NN 107 i 108.

Nie uwzględnianie wyników badań historyków litewskich, zwłaszcza, jeśli chodzi o okres Litwy sprzed Unji, pociąga za sobą zarzut jednostronności i tendencyjności. Abstrahuję całkowicie od tego, że praca p. Puzyny od tego rodzaju podejrzania może być zupełnie wolna, chcę tylko zwrócić uwagę, że w tym wypadku sam fakt pominięcia prac drukowanych może stanowić defekt rozprawy.

Natomiast zupełnie poprawna metodycznie i ciekawa merytorycznie praca Żytkowicza „Stosunki skarbowe W. Ks. Litewskiego w dobie insurekcji Kościuszkowskiej” oparta na źródłach archiwalnych, przez dotychczasowych badaczy, z powodów od nich niezależnych nie uwzględnionych, przynosi wiele nowego i bardzo ciekawego materiału, umożliwiającego bliższe wejście w stosunki wewnętrzne, najistotniejsze, jeśli chodzi o to, co się zwykło określać jako *nervus rerum* ludzkich poczynań — stosunki pieniężne — tym razem w czasie powstania Kościuszkowskiego na Litwie.

kolonji nadmiar swoich produktów, a w pierwszym rzędzie przedstawiciele rodzimej rasy kulturtregerów. Ludzi, wytrenowanych w szczepieniu cywilizacji wśród półdzikich szczepów b. Litwy Środkowej. Oczywiście, wszyscy ci przybysze pojedają do Afryki. I to jest jedyna smutna strona ewentualnego zwycięstwa Italii nad Abisynją. Widzę już, jak Wileńszczyzna z płaczem będzie żegnała tych, którzy ją przez 15 lat cywilizowali.

Bolesław Szyszkowski.

Uczniowie św. Franciszka z Assyżu.

„Rycerz Niepokalanej” i „Mały Dziennik”, wydawane przez franciszkanów w Niepokalanowie, a kolportowane masowo na terenie całego państwa (w naszym kraju również rozchodzą się w tysiącach egzemplarzy) mają ustaloną reputację pism dewocyjnych, mocno niewybrednych pod względem treści, niewiele różniących się poziomem od goniących za sensacją brukowych świstków.

Obrońcy tych wydawnictw podjął się w ostatnim numerze „Buntu Młodych” p. J. M. Bocheński, który zwiedził Niepokalanów i z zachwytem opisuje to osiedle franciszkańskie, pracę, jaka w nim wre, świetną organizację, zapal i poświęcenie braciszków, mądre kierownictwo ojców etc. Czy jednak ascetyczny tryb życia zakonników i cechujący ich fanatyzm religijny upoważniają do twierdzenia, że to, co oni tworzą, jest „wielkiem, bardzo pięknym i bardzo szlachetnym dziełem”?

Mnisi neapolitańscy, którzy — jak o tem wspomina Axel Munthe w swej „Księdze z San Michele” — głoszą, że Chrystus zawdzięcza swą glorię tylko tej okoliczności, że miał za matkę Madonnę, że nic dla Niej nie uczynił i dlatego „złe skończył”, zapewne — są również głęboko wierzący, noszą zanedbane habity i być może jedzą na cynowych talerzach, nie znaczy to jednak, by ich poglądy i działalność były „ze stanowiska katolickiego najzupełniej w porządku”.

Zbytecznym byłoby wymieniać tu przykłady szerzonych przez wspomniane pisma zababonów i przesądów. W poważnej prasie przytaczano je niejednokrotnie, wskazując z ubolewaniem, że tego rodzaju tandetna lektura szerzy nie oświatę i kulturę w masach, lecz ciemnotę i zacofanie. Pod tym względem zresztą specjalnie się wyróżnia „Rycerz Niepokalanej”,

Praca ta, której wartość polega przedewszystkiem na wydobyciu faktury z nieznanych akt, jest punktem wyjścia dla dalszych badań, sama wszakże posiada mankament, który uważam w stosunku do niej za zarzut główny. Dotychczasowe sądy w sprawie udziału Litwy w insurekcji 1794 roku były jednostronne, autor zaś, możliwe, że siłą daleko posuniętej reakcji, poszedł w swych wnioskach końcowych zbyt daleko, znacznie dalej, aniżeli to zdają się wykazywać fakty przezeń cytowane.

Z przytoczonego przez autora materiału faktycznego (nie we wszystkich zresztą szczegółach wyzyskanego) bynajmniej nie wynika, jak to optymistycznie twierdzi autor, że społeczeństwo „zdobyło się na ogromny — rzec można wysiłek materialny”, „że nie ulega wątpliwości, iż rząd i społeczeństwo zrozumieli, (!) powagę i tragizm chwili; (i) dzięki temu na walkę z najazdem wydobyto maximum energii”. W tem to właśnie sęk, że podany przez autora stan faktyczny wcale o tem maximum energii nie przekonywuje. Ofiarność i entuzjazm, oczywiście były,

natomiast „Mały Dziennik” rości aspiracje szersze, ma pretensję do publicystyki i kreśli takie oto wytyczne dla akcji katolickiej w naszym kraju:

„Lud kresowy ma pewne odrębności i choć różni się wyznaniem od nas, tem niemniej nie można go nazwać mniejszością narodową. Naszem zadaniem byłoby stworzyć z niego Polaków katolików bez zastrzeżeń, obudzić w jego duszy poczucie jedności z nami wszystkimi, czującymi i myślącymi po polsku i katolicku”.

Nie wiadomo, co tu bardziej podziwiać: znajomość rzeczy, czy tendencję? Ta ostatnia odpowiada najzupełniej wskazanym programowym endecji, ale co to ma wspólnego z katolicyzmem? Tak, tak. *Piszetsia Manchester, a wygowariawetsia Liwerpull*

Z przeszłości cmentarzy wileńskich.

W r. b. upływa lat 125 od założenia cmentarza po-bernardyńskiego w Wilnie, co kilkakrotnie podkreślono już w prasie miejscowej. Jednak nawet autorzy przewodników po Wilnie nie podają ściśle okoliczności, w jakich ten cmentarz powstał. Rzucają na nie światło niektóre ocalałe w archiwum kościoła po-bernardyńskiego w Wilnie dokumenty. Kilku zdobytymi tu informacjami chcemy podzielić się z szerszym ogółem.

Sprawa miała się tak.

Na Zarzeczcu, nieopodal rogatek podmiejskich, akurat pod Górą Żwirową nad Wilenką był na pocz. w. XIX plac miejski, zostający w nielegalnym władaniu obywatela Marcina Ancypy. Wynosił on 1 mórg i 100 prętów. Znacznie liczniejsza niż dziś niemiecka kongregacja św. Marcina przy kośc. św. Anny zabiegała dla siebie w ówczesnym magistracie m. Wilna o plac na cmentarz grzebalny. Po niezbędnych deliberacjach, magistrat w r. 1810 zgodził się oddać wymieniony wyżej plac na ten cel. Sporządzono wtedy akt intromisji placu miejskiego na przedmieściu wileńskim Zarzeczcu *na cmentarz dla Kongregacji Niemieckiej Rzymsko — Łacińskiej — Katolickiej pod dykcją Wielebnych Ojców Bernardynów zostającej*. Dlatego cmentarz pierwotnie nie nosił nazwy dzisiejszej i był własnością kośc. św. Anny, ściśle kon-

ale jednak nie maksymalny. Możliwości były większe. Należyta ocenę wysiłku materialnego utrudnia nadto brak materiału porównawczego wartości ówczesnego pieniądza. Autora usprawiedliwia okoliczność, że skonstruowanie aparatu porównawczego jest rzeczą b. trudną, ale nie niemożliwą, przynajmniej w przybliżeniu.

Gdyby nie te syntetyczne uwagi końcowe w rozprawie Żytkowicza, odbiegające nieco od poszczególnych faktów, pracy tej nie wieleby można zarzucić, drobne bowiem usterki nie wpływają na ocenę studjum, którego lektura jest naprawdę b. interesującą i pożyteczną, ale ceterum censeo, o ile się nie ulegnie sugestji „końcowych wniosków pokrępiających”.

Eugenjusz Gulczyński.



gregacji św. Marcina. Dopiero potem niemiecko-katolicka parafia św. Anny darowała część cmentarza bernardynom, z którymi łączyły ją dzięki sąsiedztwu wieloletnie a bliskie stosunki.

Lat kilkadziesiąt, zgodnie i każdy swoją częścią cmentarza władały kongregacja św. Marcina i bernardyni. Gdy po kasacie ich klasztoru, proboszczował u bernardynów lubiany przez Niemców katolików ks. Kazimierz Juszkiewicz, wszystko było spokojnie, atoli za rządów proboszczowskich u bernardynów ks. Kazimierza Jagielly doszło do ostrego między kongregacją powyższą a księdzem proboszczem sporu. Kongregacja uważała siebie za jedyną a prawną właścicielką cmentarza, mając na poparcie swych praw przytoczony wyżej akt intromisji. Znowu ks. Jagiello dowodził, że kongregacja św. Marcina z *żadnym* w Wilnie kościołem związana nie była i dopiero w r. 1824 zawarła umowę z wileńskim konwentem OO. Bernardynów, odkąd już stale pozostaje przy kość. św. Anny.

Nie będziemy tu sporu powyższego rozstrzygać. Topniejąca w w. XIX liczba członków kongregacji św. Marcina — Niemców katolików, a rosnąca wciąż liczebnie parafia Zarzeczna u św. Bartłomieja, a potem jej spadkobierczynie po-bernardyńska wcale rychło zapelnily grobami nowy cmentarz na Zarzeczcu, przyczem tak część darowaną bernardynom, jak i tę, którą *de iure* władała tylko kongregacja św. Marcina. Dlatego bez większego skutku przebrzmiał głos jej protestu i wygrał faktycznie sprawę kościół po-bernardyński, w myśl zasady: *melior conditio possidentis*.

Pamiętką związku przed wiekiem rz. kat. cmentarza zarzeczego z kongregacją św. Marcina jest dotąd istniejący tuż obok cmentarza, u wylotu na ul. Połocką, przytułek dla starców. Dom sam zdobi od ulicy wizerunek święty z rzędem doniczek z kwiatami u dołu, a nad bramą w otoku czytamy napis: *Kongregacja św. Marcina*.

*

W r. 1928 kościół św. Stefana wraz z b. cmentarzem św. Stefańskim władze duchowne oddały Salezjanom, którzy zaraz wiosną roku następnego zabrali się pilnie do usuwania częściowo nagrobków, pomników i płyt namogilnych, by wyzyskać tak powstałe tereny na boiska dla chłopców. Dobrze że usunięte nagrobki jeszcze istnieją złożone gdzieś na uboczu. Wobec powyższego chcemy podać tu wiadomość o szeregu nagrobków, o których żadnej wzmianki niema w naszych przewodnikach po Wilnie. Odnotowania nasze dotyczą połowy r. 1928.

U dołu północnej ściany kościoła św. Stefana wmurowana jest tablica z takim napisem:

*Andrzej Matuszewicz
prof. b. Un. Wileń.
† 6 kw. 1816
w 54 r. ż.*

Był to profesor zwyczajny akuszerki b. uniwersytetu wileńskiego i założyciel kliniki akuszerki w Wilnie. Uczeń i następca znanego prof. Regniera. Pracował też literacko.

Inna tablica namogilna, dotycząca też postaci z b. uniw. wileńsk., to —

*Michał Hłuszniewicz
b. Pomocnik Dyrektora Obserw. Wileń.
(1797—1862).*

Był to astronom, członek niezmiernie zasłużony pracowity, przytem skromny. Inni skorzystali z długo czynionych przezeń obserwacyj. Umarł odsunięty, cierpiąc niedostatek.

Byłoby rzeczą nader pożądaną, by spadkobierca prof. Matuszewicza na katedrze akuszerki, prof. Jakowicki, który okazał się rozbudował w r. b. uniwersytecką klinikę ginekologiczną, zechciał też uczynić coś dla utrwalenia przed zagładą i zanikiem tablicy i pamięci swego poprzednika z przed wieku. Swego czasu zwracaliśmy również uwagę prof. Wł. Dziewulskiego na niepewny los nagrobka astronoma Hłuszniewicza. Uniwersytet S. B. zdobył się przed kilku laty na obserwatorium, więc też pięknym czynem byłoby jakieś zabezpieczenie kamienia namogilnego na grobie wybitnego pracownika astronomii w dawnym obserwatorium wileńskim.

Pozatem skasowany cmentarz św. Stefański posiadał nagrobek wielu osobowości wybitniejszych m. Wilna. Spoczęli na nim: b. prezydent Michał Szatkowski (?), art. dram. Aniela Chomińska († 1859), o. Florjan Dawidowski, gwardjan franciszkanów († 1801), o. Samuel Szczepa, prowincjał Karmelitów Bosych, Dominik Chodźko, Józefa Żerakowska († 1864), Teresani, Grosmani, (zapewne spolszczeni Włosi), Rutkowski, Wędziagolscy, Budzyńscy, Powstańscy, Kossakowscy, Daleccy, Mączyńscy, rodzina Białych i wielu innych.

Archiwista.

Po dwudziestu latach.

W dniu Zadusznym na Rossie wileńskiej odbyło się uroczyste poświęcenie pomnika na grobie głośnego ongi działacza litewskiego s. p. ks. Józefa Ambrożewicza.

Ks. Ambrożewicz urodził się d. 9. II. 1855, kształcił się w seminarjum duchownym w Sejnach, które ukończywszy otrzymał w r. 1880 święcenia kapłańskie. Wskutek braku zrozumienia wówczas ze strony zwierzchności duchownej w Sejnach dla litewskiej pracy kulturalno-oświatowej nad ludem, przeniósł się młody, czynny a ideowy kapłan do archidiecezji warszawskiej, gdzie pracował znów wśród ludności rdzennie polskiej. Jednak zawsze ciągnęło ks. Ambrożewicza do stron ojczystych, dlatego w r. 1892 przeniósł się do diecezji wileńskiej, gdzie wówczas był biskupem jego rodak Audziejewicz. Po przybyciu tu, proboszczował kolejno w Strunojciach i Łuczaju, skąd go niechętny dla Litwinów, ówczesny administrator apostołski w Wilnie bp tyt. Zdanowicz powołał do Wilna, gdzie już tylko wikarjuszował przy kościołach Wszystkich Świętych, św. Rafała i św. Jana.

Obok pracy kościelnej i parafjalnej, ks. Ambrożewicz raźnie się wziął do pracy kulturalnej wśród coraz bardziej wynarodowiających się rodaków w Wileńszczyźnie. Budził tedy świadomość narodową, urządzając wieczory wokalne, po zorganizowaniu uprzednio w Wilnie chóru litewskiego. Był to czas, gdy Litwini nie mieli jeszcze w Wilnie kościoła osobnego, i byli naogół pod względem religijnym mocno zaniedbani przez władze kościelne. Dlatego ks. Ambrożewicz uprawiał z wielkiem zamiłowaniem katechizację dzieci litewskich. Wydał więc w r. 1906 w Wilnie po litewsku katechizm, gdzie niefortunnie wyraził

tę myśl, którą dziś Pius XI realizuje, dając Japonji, Chinom i innym krajom biskupów z kleru krajowego. Następstwem tego było wniesienie katechizmówek w r. 1907 na indeks i zasuspendowanie autora, który nie chciał odwołać tego, co napisał. Tak pod suspenzą przebył ks. Ambrożewicz aż do śmierci, mocno rozgoryczony na władzę diecezjalną, społeczeństwo polskie, a nawet częściowo ziomek. Życia dokonał w Wilnie d. 27.VI.1915.

Póki mu zdrowie służyło, nie czuł się wcale złamanym przejściem powyższem. Oto w r. 1907, do spółki z dr. Basanowiczem, ks. Stakiałą, ks. Olszewskim, Krauczunasem, założył w Wilnie *Sąjungę*, jaka miała za cel starania o przywrócenie praw językowi litewskiemu w kościołach rz. kat. na Litwie. W r. 1908 rzucił śmiałą myśl nabycia na potrzeby Litwinów Werek pod Wilnem, co nie doszło do skutku dla braku pieniędzy.

Piórem pracował w „Šviesa”, wydał polsko-litewsko-rosyjski słownik i kilka dziełek z zakresu pszczelarstwa.

Przed śmiercią pojednał się z Kościołem, umarł wolny od kar, przyczem pogrzeb jego na Rosse odbył się przy udziale kleru obu poważnionych narodowości.

Niegdyś Polacy wileńscy gotowi byli straszyć niegrzeczne dzieci nazwiskiem ks. Ambrożewicza, jako *litwomana nad litwomany*, dziś czas wygładził chyba dawne uprzedzenia i niechęci.

W kronice życia litewskiego w Wilnie nazwisko śp. ks. J. Ambrożewicza pozostanie na trwałe, jakkolwiek jego osobiste losy ułożyły się tragicznie. Pewną rekompensatą doznanych przezeń w życiu krzywd będzie wzniesiony teraz i poświęcony na Zaduszki pomnik namogilny.

Rimtas.

Biblijografja.

Olechnowicz Franciszek. *Siedem lat w szponach G. P. U.* Wilno 1935.

Żaden może odcinek życia Z. S. S. R. nie ma dziś literatury tak obszernej, jak G. P. U. Żywo działająca na wyobraźnię niesamowitość tego dziecka najkrwawszej w świecie wielkiej rewolucji rosyjskiej, czyniła szczególnie ponętym temat G. P. U. z jego badaniami, lochami, przymurkami itd. itd.

Dobrze znany Wilnu z wielorakiej pracy tak w ruchu białoruskim, jak prasie polskiej p. Olechnowicz (ściślej Alechnowicz), który względnie niedawno w drodze wymiany więźniów dostał się do Wilna, odtwarzał przez tych kilka lat w prasie miejscowej („Kurjer Wileński”, „Słowo”, „Nasze Wremia”) i zagranicznej (paryskie „Wozroźdenije” i charbiński „Nasz Put”) różne fragmenty rzeczywistości sowieckiej, a przedewszystkiem obrazki z G. P. U. Obecnie autor zebrał cenniejsze z tych utworów w jedno, usystematyzował chronologicznie i po pamiętnikarsku i debiutuje obecnie polskim tomikiem, jaki świeżo opuścił tłocznie drukarni „Prasa”.

Nie można powiedzieć, że omawiana książeczka jest tylko przedrukiem. Nie. Zamieszczone tu rzeczy tylko częściowo drukowały się przedtem. Dziś

całość została podzielona na dłuższe i krótsze artykułki, opatrzone lakonicznymi tytułami.

Swoisty ten reportaż zaczyna się od Mińska Białoruskiego. Autor ma talent narracyjny i łatwo włada polszczyzną dziennikarsko-feljetonową, więc opowiadanie płynie wartko. Obrazy mkną niby na filmie, nie pozostawiając dużo miejsca i czasu na refleksje. Nie chce jednak przez to powiedzieć, że autor pisze sucho i wyłącznie protokularnie. P. Olechnowicz pracuje piórem chyba dobre ćwierć wieku. Ma tedy wprawę, doświadczenie, no i dosyć taktu i smaku, by mógł wpaść niebacznie w jakąś przesadę lub niezręczność. Nie mając oczywiście w więzieniu z sobą kodaka, O., jako stary aktor, reżyser i sam twórca dramatów i komedyj, dokonał w głowie całego szeregu zdjęć swych towarzyszków niedoli. Stąd często w swych wspomnieniach mówi o nich, kreśląc plastycznie najrozmaitsze typy.

Z Mińska trafia autor na wyspę naprzód Pospowską, potem Miah, wreszcie na Sołowki. Obrazki z tych miejsc często są przeplatane opisami egzotycznej dla nas przyrody północnej, surowej, lecz też pięknej. Więc siola karelskie, *samoruby* w lasach, białe noce..., a jednocześnie niefortunna ucieczka. Ciekawe są, mimo przewijającej się przez całą książeczkę stylizacji przeżyć, te obrazki z Sołówek (np. *Kobieta na Soławkach*, *Humor kazamatów*, *Listy*, *Teatr*, *Wizyta Gorkij'a...*), a potem z drogi powrotnej na południe. Przedostatnim etapem pobytu autora w Sowietach była Moskwa, skąd ruszył po dopełnieniu różnych formalności, znowu via Mińsk ku granicy białorusko-polskiej.

Książeczka wydana skromnie, może nawet zbyt skromnie. Okładkę ma o barwie dowojennego szynelu arezstanckiego, papier też zgrzebny. Zdobi ją podobizna autora z brodą rozwichrzoną i w kożuchu sołowieckim z r. 1929.

Tania cena (1.80) udostępnia jej nabycie.

as.

50-lecie Konsekracji Kościoła OO. Bazyłjanów w Warszawie. Warszawa 1934.

W r. ub. rezydencja bazyłjanów w Warszawie (Miodowa 16) obchodziła uroczystość swój półtorawiekowy jubileusz (1784—1934). Dla uczczenia tej chwili winowajcy uroczystości wydali na pięknym papierze szkic historyczny swojej cerkwi i klasztoru. Już na początku w. XVII myślano o fundacji bazyłjanów w stolicy państwa, tembardziej że ówczesny król polski sprzyjał temu zamierzeniu. Zrealizował ten projekt metropolita gr.-kat. Lew Kiszka, przyczem na fundację wysłano do pierwotnej kaplicy trzech litewskich bazyłjanów z Supraśla. Rychło powstało bractwo św. Onufrego, którego członkami była też rodzina królewska. Zamiast kaplicy, wzniesiono później cerkiew obecną. Kamień węgielny poświęcił nuncjusz Archatti, a pierwszą warstwę wapna kładł król Poniatowski. Smuglewicz (nie Szmuglewicz!) ozdobił cerkiew trzema płótnami. Świątynia służyła obrządkowi gr.-kat. do r. 1875. (Ostatni bazyłjanin warszawski zmarł w r. 1918), poczem przeszła w ręce duchowieństwa prawosławnego.

Rewindykowano ją w końcu r. 1929.

Gorliwie pracując przy tej cerkwi, dzisiejsi bazyłjanie potrafili uczynić ją często a chętnie uczęszczaną przez katolików *utriusque ritus*.

Grek.